

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Równy mied kwartal. 1 Złr. 20 kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji w księgarni H. W. Kallenbacha.

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

III.

PAŁAC I CHATKA.

(Ciąg dalszy.)

Pod wysokiemi największej skały wyścielił sobie chłopczyna łożo królewskie, na którym w czasie upałów lipcowych spoczywał z niewysłowioną rozkoszą! Nie był że on królem: tego osamotnionego zakątka? Nie służyłżo wszystko na jego rozkazy, które właściwym sobie językiem wydawał tym głazom służalczym?..

Jednem z najgłówniejszych jego wyobrażeń było, iż na świecie jest pan, któremu służą podobni jego rodzicom ludzie. Wiadomość tę powziął z rozmów wieczornych, gdy ojciec i matka między sobą gadali. Otóż tym panem rozkazującym wszystkim, którzy go otaczają, był on w swoich snach na owem łożu królewskim. Rozkazywał i karecił, zachęcał i gniewał się, dawał zapytania i odpowiedzi, a mianowicie często wypędzał na pańszczyznę i hojnie rozdawał batogi. Innych znamion władzy pańskiej nie znał on wcale, bo się o nich nigdzie nie mógł dowiedzieć. Pionowo stojący kawał kamienia kształtu bazalta, był to najczęściej sąsiad Onufry, podręczny i zausznik pana, a tuż obok niego horyzontalnie leżący odłam skalisty przedstawiał chrzestnego ojca Onyszka, któremu pański wiernik wyliczał zasądzone plagi. Czasami miejsce chrzestnego ojca zastępował własny chłopięcia rodzic, któremu jednak w królewskiej swojej powadze ani jednego nie przebaczył kańczuka. Nie wiadomie naśladował on tym sposobem owych rzymskich sędziów którzy na własną krew wydawali wyroki nieublaganel..

Stosownie do trzech królestw natury, podzielił on swoje całodzienne zatrudnienie na trzy główne oddziały, i w raz ułożonym porządku wytrwał sumiennie. Były to trzy oddzielne społeczeństwa, w których jednak zawsze królował młody eremita.

Z samego więc porządku wypływało, że pierwsze chwile poranku poświęcał towarzystwu najprzedniejszemu, w którym jego pozycja królewska była tylko imaginacyjną. Towarzystwo to składało się z przylatujących, w ówczas

ptaków różnopiórych, poczynawszy od skowronka, aż do święgotliwego wróbla, z którym w najpoufalszych był stosunkach. Królowanie chłopczyny było w prawdzie w tem piórzastem królestwie nader problematyczne, jednak unikając wszelkich rozkazów, któreby mogły być nie uwzględnione, cieszył się jedynie ich ruchem, lotem samowolnym, i pieśnią poranną. Wyższość atoli nad niemi okazywał czasem rzutem kamienia, który najczęściej celu uchybił, i wypłoszeniem siadającego na baldakinie królewskim szpaka.

Gdy słońce w górę się wzniosło, a szczebiotliwe ptactwo w zaciem parku umykało, wtedy czarnowłosey chłopczyna zalegał „łożo królewskie“ i milczącym w swoim poddaństwie głazom wydawał rozkazy prawdziwego despoty. Teraz był on nieublagany i nielitościwie katował czerw słuźalców, leżących plackiem pod jego nogami. Była to brzydka, odwrotna strona jego duszy dziewczęcej.

Po krótkim śnie opuszczał „łożo królewskie“ i wchodził w zachwycający świat roślin kształtów tysiącznych, które wszystkie znał i rozróżnić umiał, chociaż na nie nie miał wyrazów książkowych. Z anielską tkliwością wpatrywał on się w świeże rozwarty kielich powoju, który z zaciem parku piał się do słonecznego chatki podwórza; odganiał owad, podpierał kwiatki powiedle i chylące się, podlewał trawki uschłe i pożółkłe. Serce jego radowało się tutaj i bolało, stosownie do tego, czy świeży kwiatek mu zakwitnął, czy wczorajszy usechł. Nie mając najmniejszego wyobrażenia o liczbach, znał jednak ilość znaczniejszych kwiatków i poznał zaraz jak mu przez noc co ubyło.

Lecz gdy promienne słońce coraz bardziej się zniżalo, i złotą szatą wieczora oblało liście, trawy i kamienie, natenczas wychodziły ze swych kryjówek miryady muszek brzęczących i komarów, wylazły z ziemi i z rozpadlin skalistych co dzień to inne i piękniejsze robaczki pełzające, i jakieś stwory skrzydlate o cudnych mieniących się barwach, a pełzały z cudną jakąś melancholijną piosenką. Wtedy to nasz chłopczyna w poczuciu swojej władzy królewskiej był najszczęśliwszym; mógł on krocie zabić i zamordować, tej jednak władzy używał on nader rzadko, jeżeli chodziło o obronę słabszego.

Był to niby epilog do dzieła całodziennego, poczem nastąpiło zamknięcie książki natury. Ojciec i matka przychodzili z roboty, a młode chłopiętko dostawało wtenczas kawałek chleba czarnego, lub podrażniając apetyt, patrzyło

z zajęciem na białe kłęby pary, warzącej się stawy. Wierzeza taka była prawdziwie królewską, a po niej nachodziły młoda jego wyobraźnię sny złote i mieniające się, jak skrzydełka muszek świętojańskich.

Zdawało się, że przy takim usposobieniu chłopięcia musiała mu być zima nieznośną i zabójczą na jego umysł ruchliwy. Ale tak wcale nie było. Najprzód był on w towarzystwie ojca i matki, z którymi ciągle miał coś do gadania. Matka prządała i warzyła jeść, rozniecała ogień, zamiatła izbę, prała i naprawiała odzież, a wieleż to nowych i zajmujących wrażeń przemknęło po jego porządkującej wyobraźni, wieleż to materiału do myśli na cały krótki dzień zimowy. Do tego ojciec wypłatał z gietkiej łożyny różne koszyki, skrobał i malował białe pręciki, a mały Robuś musiał wszędzie coś pomódz, coś potrzymać, odnieść lub przynieść. Jakiż to obszerny świat dla młodej jego duszy! A gdy się zdarzyło, że ojciec do młocki poszedł, a matka także gdzieś się za zarobkiem na cały dzień wyniosła, samotny chłopczyna siedział przy oknie, i patrzył na fantastyczne kwiaty szyby zamarznętej i zdawało mu się, że znowu jest królem roślinności, jak w dniach ciepła. Albo chodząc po obszernej świetlicy, obnosił kądziel nucąc przytem melodyą pogrzebową jedyną, która mu z pogrzebu brata w pamięci została. A chociaż matka często przy kądzieli wieczorami śpiewała, melodia ta nie różniła się wiele od jego melodi pogrzebowej.

Niewysłowionem dlań szczęściem było, gdy ostatniej zimowej pory przybył na kilka wieczorów stary Jaśko, krewniak z rodu, a dziad z lenistwa i nalogu, i młodemu chłopięciu opowiedział kilka skazek i gadek o zamkach zaczarowanych i nieszczęśliwych pokutujących księżniczkach. Od owych wieczorów w małej lecz pięknie uporządkowanej główce małego wygnańca rozwinał się cudowny świat duchów i demonów, świat złudy i uroku, który stosownie do powziętych wrażeń natury, przybierał tejsze znajome mu kształty i wyrazy.

Góry skaliste, glazy, drzewa, trawki, kwiatki, kamyki muszki i owady wzięły na siebie teraz nowe przymioty, wzięły ruch i życie, miały wolę i rozum, i stosowne do tego dostały nazwiska i znaczenia. Świat ten jego wysniony i czysto duchowy rozstrzeliwał się na tysiączne konary, a w każdym jego atomie bił źródł życia, odbywało się działanie. Był to czysty kierunek do owych wyobrażeń orientalnych, które również nie są niczem innem, jak płodem bezpośredniego życia w naturze, i szukania wyobraźni jej tajemnic, ukrytych przed okiem rozumu i ciała.

Tym sposobem przyzwyczaiła się młoda chłopięcia dusza skapo udzielone wrażenie rozszerzać w nieskończoność jak nić czystego złota, i motać w kształty najpiękniejsze. Nauczyła się z jednego pasma pajęczego prząść długie i fantastyczne szaty, do których dostarczała jej milionowych wzorów w atomach swych największa natura. Wrażenie ta-

kowe i pojedyncze pojęcia umiał on tak dziwnie mieszać i porównywać, stawiać je różnostronnie, całkowicie i w ulamku, i tak różnemi umiał je nałożyć barwami, że z jednego kształtu zrobił tysiąc, z jednej myśli, z jednego wyobrażenia kleił dziwne jakieś systemata całej wiedzy ludzkiej, przeczuwał i odgadywał z jednej gałązki, z jednego kwiatka, z jednej muszki cały nasz świat i cały ogrom jego życia. Jak Cuvier z jednego zęba kusił się odrysować postać stworu przedpotopowego, jak d' Alembert, który śmiało utrzymywał, że z jednego palca nogi człowieczej można odgadnąć wszystkie rysy jego fizjonomii: tak nasz czarnowłosy chłopczyna z jednego odlamanego kamyka tworzył sobie całą postać wszystkich gór kamiennych, tak z kilka swoich pojęć społecznych odmalował sobie całe społeczeństwo ludzkie. A że te obrazy były nader skromne i niedokładne, mieliśmy już sposobność o tem się dowiedzieć.

Razu jednego opanowała go jakaś nieograniczona tęsknota. Było to w lecie, a ojciec i matka poszli gdzieś na zarobek. Małe podwórze nie wystarczało mu dzisiaj.

Liście i kwiaty jakoś powędowały od spieki słonecznej a złote i lazurkowe muszki pochowały się gdzieś w chłodnej rozpadlinie. Nawet wróbel żaden nie przyszedł w gościnę, ani wrona, z którą w ustawicznej był wojnie. A gdy i łożo królewskie upragnionego nie nadało mu spokoju, chłopczyna począł się wspinać na swój baldakin, na który się jeszcze dotąd nigdy nie był wydrapał. Dzisiaj czuł się jakoś dziwnie więcej na siłach, więcej posiadał zręczności a po kilkogodzinnym trudzie stanął nareszcie na najwyższym szczycie tego kamiennego wysoku.

Dziwny widok roztoczył się teraz przed jego oczyma; a nie sięgał on wprawdzie zbyt daleko, wystarczył jednak, aby biednemu chłopięciu pomieszać zmysły, nieoswojone z taką nowością. Nie widział on tylko nieco więcej kamieni góry niebotycznej, trochę jakiegos ciemnego porostu na jej łysinie szarej, a z drugiej strony wierzchołki dziwnie i fantastycznie ugrupowanych drzew ścielącego się pod jego nogami parku pańskiego.

Owóz w tym parku ujrzał niedaleko od siebie dwoje dzieci i jakiegos trzeciego starszego. Jednym z nich był to chłopczyk jasnowłosy, druga w bieli ubrana dziewczynka. Zdziwiło to młodego samotnika, że ani chłopczyk ani dziewczynka nie były doń podobne, ani nawet do wysnionych przezeń postaci ludzkich.

Dziewczynka osobiwie miała na sobie coś tak nadprzyrodzonego, tak uroczego, a co zupełnie zgadzało się z opowieścią Jaśka o zaklętych księżniczkach.

Kilka chwil przepędził w osłupieniu, potem trochę zamarzył, a że się słońce już ku zachodowi miało, wrócił ze skały smutny i zaszepiony, jakoby utracił najpiękniejszy swój kwiatek, najdziwniejszą muszkę. Powietrze wydawało mu się jakieś mgliste i ciemne, a zieleń drzewa nie taka, jaką dopiero widział z kamiennego wysoku. Nawet kamienie

straciły coś ze swojej szarej barwy, i wyglądały brudno jak jego koszula w sobotę.

Rodzice przyszli wieczorem do domu, a widząc osowiałego chłopczykę, zapytali się go, czy nie jest chory. Chłopczyzna jednak zamilczał o wszystkim, i zaczął nawet skakać, aby go dłużej o słabość jaką nieposądzano. Lecz skoki nie szły mu w rękę, bo w jego głowie szumiało coś nieustannie, coś się białało i świeciło, na co on jeszcze nie miał żadnego imienia. Mimo to ułożył sobie w bezsennej nocy jakiś plan dziwaczny, osnuty na tle zasłyszanych od Jaska gadek.

Przed świtem odeszli rodzice, zostawiwszy mu kawałek suchego chleba. Chłopczyzna jednak nie tknął go, a od świtu zatrudniony był robotą około żywego plotu. Wymykał on i łamał jedną gałązkę po drugiej, ocierał pot z czoła, a krew z palców, i nie ruszył się z miejsca, póki jedyny jego towarzysz domowy, kogut krasnopyóry, krzykiem swym nie zapowiedział powrotu rodziców. A był to już późny wieczór.

Żywy plot był grubości kilku łokciowej. Zawalony do tego opadłym liściem i różnym śmieciem, które tu jako w najodleglejszy róg parku wyrzucano, wyglądał istotnie jako mur chiński, zamykający w sobie jakiś świat mar i cudów.

Cały tydzień pracował chłopczyzna, zanim wylamał otwór, przez który mógł się wcisnąć z wielką biedą; ale na tem nie był jeszcze koniec.

Natrafiał na drugą linię obronną, którą również potrzeba było przełamać. Lecz to była praca nielada! Jakaś gęsto krzewista roślina rozłożyła się tam, i spłotła swoje konary w łańcuch nieprzełamany. Znowu tydzień upłynął, a chłopczyzna doszedł dopiero do ostatniego rzędu gałęzi.

Już słońce przygasać zaczęło, gdy odchyliwszy kciastą gałąź ujrzał przed sobą przecudną, żółtym piaskiem wysypaną drogę, która się ciągnęła gdzieś bez końca. Nie daleko niego była jakaś chałupka, obita korą brzozową i obrośnięta wijącym się chmielem. Różniła się ona od chałupy rodzicielskiej tem, że nie było w niej ani okien szklanych, ani pieca, ani drzwi zamykanych.

Młode chłopię, przyzwyczajone do kombinacji niezliczonych swoich pojęć i wiadomości, zaczął już być powątpiewać o istnieniu zimy w tym ogrodzie cudotwornym, gdy coraz więcej zapadająca ciemność ostrzegła go że czas do rychłego odwrotu. Starannie pozatykał otwór odłamkami gałęzi, i pospieszył do chatki, gdzie już matka czekała nań z chlebem i serem.

Nazajutrz, skoro świt, pobiegł chłopczyzna do swego otworu, przez który miał się zapatrywać na nowy, obcy mu świat; lecz prócz tej samej drogi i tego domku z kory brzozowej nic więcej nie ujrzał. Siedział dzień cały, zaniedbał kwiatki i muszki, wzgardził nawet „łożem królewskim” w czasie południa; ale nikogo nie obaczył. Tym sposobem

upłynęło kilka dni, a chłopczyzna leżał przed otworem nadaremnie.

Aż jednego poranka zbliżając się do otworu posłyszał jakieś głosy niewyraźne. O dziwo! ten sam chłopczyk złotowłosy, i ta sama w bieli dziewczynka!

Ich ubiór i ruchy różniły się zupełnie od ubioru i ruchów naszego chłopięcia, a przesłonięte perspektywą oddalenia, wydawały się jak te postacie z gadek starego Jaska. Było w tem coś tak czarodziejskiego, tak uroczego i nadnaturalnego, że zagapiony chłopczyzna z wstrzymanym oddechem leżał w chwastach i w pokrzywach, i lękał się gałązkę ruszyć, aby tych wyższych istot nie spłoszyć z ogrodu rajskiego. Czekał on tylko, rychło-li ich białe skrzydła się rozwiną, i ponad drzewa parku odleca wysoko, wysoko — wyżej nad jego baldakin kamienny...

Już teraz był on pewny, że to duchy ksiąząt zaklętych pokutują w również zaklętym pałacu, a serce jego zawrzało po raz pierwszy żądzą czynu głośnego... To jego wyobrażenie zyskało tem więcej prawdopodobieństwa, gdy raz jednego chłopczyk i dziewczynka przyszedłszy do tego domku bez okien na igraszki, mówili z sobą jakąś mową nieludzką. Już teraz nie miał on ich za ludzi, a patrząc na ich igraszkę, czynił to tylko z ciekawości.

Dziwny tajemniczy głos mówił mu w duszy, że ten przepych, że to bogactwo, że te błyszczące cacka nie są wcale szczęściem upragnionem!.. że te, aczkolwiek wyższe przymiotami istoty, są przecież duchami pokutującymi, których życie teraźniejsze jest karą i męczarnią. Tak albowim opiewały gadki starego Jaska, które w tym względzie miały u niego autentyczność biblijną.

Tak pojmując to nowe swoje odkrycie, zaczął się mały chłopczyzna trochę uspakajać, a nawet z każdym dniem powracał już więcej do dawnego trybu życia. Już wiedział pewny czas, w którym to pokutujące rodzeństwo mógł ujrzeć, i w tym tylko czasie siedział przy swoim otworze. Resztę czasu poświęcał on dawnym swym zatrudnieniom.

Zaniedbane przez kilka tygodni kwiatki były teraz z podwójną pielęgnowaną troskliwością; departament robaczek i owadów wszedł napowrót w życie, a malefikanctwo Onyszkio odbierał dzisiaj od zausznika pańskiego podwójne plagi.

Znowu przyszły do pierwotnej swojej godności „łoża królewskie” i z niemniejszą niż wprzód rokoszą spoczywał na niem chłopczyzna czarnowłosy. Tylko często wśród tych zabawek przychodziła mu na myśl dziewczynka w bieli którąby rad był z duszy wyzwolić, i jej napowrót przywrócić mowę ludzką. A wtedy miałby jej wiele do powiedzenia, do zwierzenia się; pokazałby jej najpiękniejsze swoje kwiatki, swoje drzewka, znaczniejsze kamienie i muszki o mieniących skrzydłach, i robaczki kształtów najrzadszych. A o wszystkim tem opowiadałby jej dzieje, dzieje długie, chociaż proste, i niezawile. I od niej chciałby się także

wiele dowiedzieć, wiele zadać jej zapytań, ale *jakie* byłyby te zapytania, *jakiej* treści byłaby ta rozmowa, o tem jeszcze wcale nie wiedział chłopczyna pustelnik, i ani nawet nie myślał nigdy.

Było to przed południem jednego pięknego dnia porannej jesieni, gdy siedmioletni nasz chłopczyna udał się wcześniej jak zazwyczaj na „łóżko królewskie”. Był on w niedobrym humorze, bo nawałnica wczorajsza popsuliła mu wszystkie zabawki.

Wszedł więc trochę wcześniej pod kamienny swój baldakin królewski i właśnie zabierał się do wykonania srogich wyroków swoich, gdy niedaleko baldachinu kamiennego usłyszał jakiś szelest i łomot nadzwyczajny. Wyszedłszy z ukrycia widział, że jakiś kamień nadzwyczajnej wielkości tocząc się z hukiem i traskiem, napada jego spokojny przybytek. Skrył się czem prędzej pod baldakin a za chwil kilka ujrzał, jak ogromna bryła skały w wielkim kablaku, ze szczytu kamiennego wysoku, runęła tuż przed nim tak silnie o ziemię, że zebrana z wczorajszej nawałnicy woda, rozbryzgała się na wszystkie strony i zniknęła gdzieś do kropli.

Zaledwo był trochę przyszedł do siebie, zatrwożył go znowu krzyk przeraźliwy, i w tej chwili na ostatnim końcu wystającej nad nim skały, ujrzał zawieszoną w powietrzu ową dziewczynkę w bieli.

Po pierwszym przestachu tak nadzwyczajnego zjawiska uspokoił się chłopczyna, myśląc, iż ta biała dziewczyna zawiesiła się z pustoty, jak szybkolotna jaskółka na swoich skrzydełkach w powietrzu.

Już chciał coś o tem zjawisku sobie zamarzyć, gdy krzyk i hałas wyprowadził go znowu z ukrycia. Ujrzał wysoko na odlamie skały stojącego jasnowłosego chłopczynę krzyczącego na całe gardło o ratunek, a tuż pod tą skałą widział spieszenie schodzącego na dół starszego jakiegoś pana.

Porównawszy to zjawisko razem, przyszedł na myśl, że zawsze dzieje się coś ważnego, czemu przecież obecnym być musi. Wydrapał się więc na baldakin prędzej niżeli tam zdążył ów cudzy w czarnym ubraniu. Lecz co za widok przedstawił się jego zdziwionym oczom!

Na ostatniej krawędzi wychylającej się naprzód skały, zaczepiona sukienką o karłowaty krzaczek jałowca, wisiała precudnej urody dziewczynka. Słaba sukienka darła się coraz dalej, a przed dziewczynką otwierała się przepaść kilkadziesiąt stóp głęboka. Miała ona oczy zamknięte, twarz nadzwyczajnej błości.

Jakiś dziwny popęd, który bynajmniej z jego niepodobna woli, kazał mu pójść na ratunek tej istocie nieszczęśliwej. „Może odzyska mowę ludzką,” pomyślał sobie chłopczyna i pobiegł do krzaku jałowca.

Na krzyk czarnego pana aby trzymał sukienkę, łatwo było siedmioletniemu chłopięciu powstrzymać dalsze darcie

się sukni, gdy takową kilka razy o krzak karłowaty obwinał i ręką przycisnął.

Hałas ten wypłoszył wszystkich mieszkańców z parku i pałacu, a wyszedłszy do glorietyki pan Kalasanty musiał się oprzeć o żelazną balustradę, bo go zmąsły odstąpiły.

Na szarem tle dzikiej skały chwiała się przezroczystą bielą owiana dziewczynka, którą nadprzyrodzoną jakąś siłą trzymał w powietrzu fantastycznie do kamienia przyczepiony chłopczyna.

Dokonano ratunku, a mieszkańce pałacu dowiedzieli się z zadziwieniem, że za pańskim ogrodem, w pustce prawie rozwalonej, wychował się młody czarnowłosy chłopczyna, który miał zostać wybawcą przyszłej ogrodu, parku i pałacu dziedziczki. Częścią z ciekawości, częścią z wdzięcznego uczucia, powołano chłopczynę natychmiast do pałacu.

Tenże atoli nieświadom wcale, że popełnił czyn godny wynagrodzenia, leżał już sobie najspokojniej na „łożu królewskim.” Wszak niejedną muchę wyratował od sideł pajęczych, nie jeden kwiatek omdlały podlał wodą i przywiązał do kija, nie jednego chrząszcza postawił na nogi, gdy tenże sam, leżąc w znak niemógł się przewrócić, wszak raz przez kilka dni karmił młodego wróbla, który gniazdo rodzinne opuścił zawczasie; a dlaczegożby nie miał zatrzymać owej dziewczynki, o której się przekonał, że nie miała skrzydełek, a spadłszy, mogłaby się skaleczyć?... Otóż nie marząc wcale o wypadku, zajęty tylko nieco ową dziewczynką bladą, zabierał się właśnie do przeglądu swoich poddanych, gdy go hajduk pański do pałacu zawołał, a wzbraniającego się na ręce wziął i dopiero w obszernej upuścił komnacie.

(C. d. n.)

OSTATNI KWIATEK.

Na ciernistym krzewie zakwitnęły róże,
Zdała od dróżyny i zdała od chatek;
Smutno wiodły listki, resztę zwiały burze,
Na ciernistym krzewie jeden został kwiatek.

I przyszła dziewczyna gdzieś od cudzych chatek,
I samotną różę na krzewie ujrzała:
„Nie zrywaj!” „Nie zrywać?” wszak to pierwszy kwiatek,
Co go zrywam w życiu”... i różę zerwała.

— „Zerwałaś mój kwiatek, choć prosił głos bratni,
Pamiętaj o dziewczę, przechowaj go wiernie
On pierwszy dla ciebie, lecz dla mnie ostatni,
A gdy go utracę — zostaną mi ciernie!” —

J. C. Z.

Potęga przemysłu.

II.

(Ciąg dalszy.)

Wyświeciwszy pożyteczność tych zakładów, puśćmy się na wędrowkę pomiędzy Doki, aby przebiegnąć ciekawych szczegółów. Wybierzmy na to Doki londyńskie, które chociaż nie największe, zawierają w sobie największą niemal różnorodność, i są najwięcej ożywione. Weźmy od grzecznego jakiego kupca z City kartę wolnego wniścia, a wszystkie drzwi i bramy otworzą się przed nią.

Na prawo zaraz od wchodu stoi brama składu z napisem: „Ivory house,” to jest dosłownie „Słoniowy dom.” Sama nazwa wzbudza ciekawość. Wchodzimy więc; za okazaniem tej karty przyłącza się jeden z dozorców składowych, który wszystko umie wytłumaczyć. Ogromne sklepienie napełnione mniej lub więcej uporządkowanymi kupami słoniowych zębów, rogów rynecerosowych, szylkretowych skorup i t. d.

Dziwne wrażenie sprawia widok tych pierwotników, które znamy doskonale, ale już w wyrobach, o kształtach najrozmaitszych. Cywilizacja wygórowana wprowadza nas niejako nazad w środek tworów nieokrzesanych przyrody. Indianin goniący w swej ojczyźnie za słoniem, nie tyle by się zadziwił na widok misternie wyrobionego przedmiotu w którym by poznał ząb słoniowy, jak my co przecie tyle słoniowych mieliśmy w ręku przedmiotów, na widok ogromnych kawałów, o których w Europie słyszymy tylko z historii naturalnej. Myśliwiec idący za śladem słonia nie myśli pewnie o grzebieniu jaki wyrobi z jego zęba przemysłny Europejczyk; ani też damie cieszącej się takim grzebieniem nie przyjdzie na myśl czarny Afrykański myśliwiec, który ubił tego słonia, by z jego zęba powstał grzebień.

Wszystkie te myśli porównawcze przychodzą mimowolnie do głowy w składzie słoniowym. Te ogromne kopce kości potężnych w stanie jak je utworzyła przyroda, zajmuje nas cywilizacją przesyconych ludzi, tą właśnie nieokrzesaną prostotą swoją. Rozdział i wpływ wzajemny pracy ludzkiej i ludzkiego przemysłu żywo się nam w takim razie przedstawia, i ta właśnie nieokrzesaność pierwotników w stanie jak wyszły z pod palców przyrody, więcej nas zajmuje, niżeliby to zdziałać potrafiły zbiory najwyższych dzieł sztuki.

Wyszedszy na ulicę na której stoi ten dom słoniowy, i inne jeszcze składy, wchodzi się do nieregularnego na wszystkie strony rozciągającego się a ogromnego placu, który zewsząd to sadzawka, to składami jest zamknięty. Na tym placu zaczyna się najruchliwsze życie Doków, które trzeba widzieć by mieć o nim wyobrażenie. Gdzie okiem zajrzeć, same tylko widać beczki, jedna koło drugiej. Pomiędzy nie porobione są ciasne uliczki do przechodu służące.

Lecz biada próżniakowi, jeśli w którą z nich wejdzie niebacznym; tu próżniactwo jak mniej więcej w całym świecie niema pokupu. Szturknięty przez taczkarza, wpada na ciągnącego konia, który go już kopytem dosięga; ledwieś z pod niego uciekł, wlatujesz między nabijających robotników, którzy się pewnie dla nikogo niepożenują. Dla tego najlepiej stanąć na boku i zdaleka patrzeć na ten ruch na oko bezładny, a przecież do największego dążący porządku.

Niemając wiele bardzo czasu do stracenia, nie można odwiedzić tych wszystkich składów, trzeba więc poprzestać na najwięcej zajmujących. Lecz otóż na lewo stoi ogromny pięciopiętrowy, na trzy strony wolno stojący dom, na którym, rzecz szczególna, wszystko pomalowane na niebiesko. Brama wchodowa, ramy okien, ściany kurytarzów, schody, ganki wszystko jest niebieskie. To nie jeszcze! ale i robotnicy z niego wychodzący wyglądają całkiem niebiesko, na sukniach, na twarzy, aż do białka oczów nawet. Warto tam zajrzeć, choćby zostać samemu niebieskim człowiekiem. Są to składy najogromniejsze i najbogatsze w świecie farby indygowej. Wprawdzie indygo spoczywa tam w szczelnie zamkniętych tysiącu tysięcy pak, tak jak wyszły z rąk liwerantów Bengalskich, lecz proszek indygowy jest tak przenikliwy, że się przemknie na wierzch przez wszystkie szpary i pory nawet. A przytem otwierają codziennie te paki po sto razy, aby towar kupcom pokazywać, przez co powstaje pyłek delikatny, który na wszystkie rozbiega się strony, i wszystko farbuje na ciemno błękitne. I ciekawemu który tam zagląda dostanie się nieraz; póki jest w Dokach nic mu to nieszkodzi, bo mieszkańcy Doków wiedzą co to znaczy, ale niech tylko wyjdzie na dalsze ulice z swym niebieskim nosem, stanie się przedmiotem nie zbyt milej ciekawości ulicznych chłopców i próżnującej gawiedzi.

Mając już dosyć indyga, chodźmy do składu herbat, a są to składy prawdziwie olbrzymie. Anglia wysyłając co roku na stały ład tysiące swoich synów, którzy uciekają, aby zniszczyć spleen, lub tańszem życiem zmniejszyć długi do tego już przyprowadziła, że chińska herbata w całej Europie stała się tak popularną jak anglików wysokie i krochmalne kołnierzyki [Vatermerdery]. Po niemieckich miastach zagnieździła się już także herbata, ale więcej jako trunek salonowy, którego można jeszcze czasami uniknąć, ale za to w Szwajcaryi, we Włoszech, Francyi, nad Renem, gdzie tylko zachodzą angielscy turyści, herbata nabyła prawo obywatelstwa, tak że po Wezuw i Czerwone morze wszyscy właściciele hotelów i gospod umieją się z nią obchodzić, a nawet bez niej podróznego nie puszczają. Zawdzięcza to herbata pieniądзом angielskich podróżników, i upartemu charakterowi Anglika, który nie tylko że w własnej ojczyźnie nie odstąpi dla gościa swoich domowych zwyczajów, ale i w cudzym kraju, żąda aby się i domy i

ludzie obcy stosowali do jego najdrobniejszych nawyków. Anglik żąda koniecznie zdybywać wszędzie swoją ukochaną Anglią, prócz mgły, ramatyzmów i innych drobnych nieprzyjemności, w jak najwierniejszej kopii. Anglik musi mieć wszędzie swoje angielskie śniadanie, obiad i kolację; ryba musi być zgotowana po angielsku, i z angielską przyzwoitością zjedzona; broda musi być codzień ogolona, a żołądek dwa razy na miesiąc przeczyszczony, koziolatek w Abruzzach powinien ten sam mieć zapach, co tłusty baran wyhodowany na płaszczyznach Brightonu i t. d.

To o bezwstydną graniczące wymaganie, które już Anglik z piersi macierzyńskiej wyssał, da się tylko wytłumaczyć tą ciełą gotowością z jaką na stałym lądzie wszyscy się naginają do angielskich kaprysów. A ponieważ za pieniądze dostanie czego chce, i jak chce na swój rozkaz, dla czegoż nie miał by żądać.

Tym też sposobem pomalutko herbata stała się koniecznością na stałym lądzie, a że inni podróżni niemają angielskiego uporu w kaprysach i w innych swoich narodowych nawyczajach, poprzyzwyczajano się w całej Europie mianowicie do herbaty, jakby do żywotnej potrzeby.

Dla tego też handel herbatą wzmaga się coraz więcej, czego dowód najlepszy widzieć można w tych o których mówimy składach herbacianych, które mimowolnie zajmują odwiedzającego olbrzymimi rozmiarami sal, przepelnionych pakami z herbatą.

Im mniej przystępny jest ten kraj, w którym hodują krzewy herbaciane, i suszą ich liście, z tem większą ciekawością patrzymy na te miliony małych, brudno ciemnych paczek, wybitych wewnątrz metalowym papierem, mającym chronić herbatę od morskiej wilgoci, a jeszcze więcej na wierzchnie napisy chińskie, oznaczające gatunek towaru, miejsce z kąd pochodzi, i firmę kupiecką która go wyprawiała.

Odrębny sposób pakowania, i te dziwnie krzywiące się litery napisów zajmują każdego mimowolnie. Najwięcej zaś imponuje sam ogrom tego składu, bo przecie nigdzie na całej kuli ziemskiej nie znajdziemy miejsca, w którym by razem stało 120,000 pak herbaty. I nadaremnie by kto chciał zaprzeczyć to wrażenie, mówiąc, że można sobie wyobrazić każdy najmniejszy skład herbaciany w setnem naprzykład powiększeniu. Matematycznie wygląda to na prawdę, ale praktycznie nie jest nią. Jest to zupełnie tak, jak gdyby powiedział nasz lwowski mieszczanin:

— Po co mi jechać do Szwajcaryi, aby widzieć górę Montblanc, przedstawię sobie naszą górę piaskową powiększoną dziesięć razy, i będę miał wyobrażenie Alpów, oszczędziwszy sobie trudów, czasu i pieniędzy. (C. d. n.)

W sprawie Tygodnika Warszawskiego umieszczanego w Czasie.

(Dokonczenie.)

Stanisław Leszczyński objął w posiadanie księstwo Lotaryńskie r. 1737; w kilka lat później założył szkoły w Nancy, a jeszcze później w Lunewillu, swojej rezydencji, gdzie się najwięcej młodzi Polacy, synowie stronników Leszczyńskiego, kształcili; a X. Stanisław Konarski już w r. 1727 był Profesorem wymowy w najpierwszej szkole Rzymskiej *Collegium Nasarenum* zwanej; w r. 1740, za pozwoleniem zgromadzenia założył konwikt, który do r. 1830 jego nazwisko nosił: nie mógł więc być stypendystą w szkole w Nauey, założonej przez Króla Polskiego.

Opowiada dalej Tygodnik, jakich zabiegów i fortelów użył Konarski, ażeby mógł ogłosić dzieło przeciw Jezuitom, z aprobatą naczelnika samych Jezuitów, że ta wraz z aprobatami naczelników wszystkich zakonów, ma być wydrukowana na czele pisma Konarskiego. Dzieło o którym mowa, noszące tytuł: *De emendandis eloquentiae vitiis*, o poprawie wad wymowy, wydane r. 1741 podług ówczesnego zwyczaju z aprobatą teologów i prowincyała zgromadzenia do którego Autor należał, wraz z upoważnieniem miejscowego biskupa, opartem na zdaniu teologa dyceczalnego, żadnych approbat ani Jezuitów, ani innych zakonów nie zawiera. Konarski podstępów w niczem i nigdy się niechwytał; występował przeciw złemu jawnie i z odwagą. Bez względu na złą wolę, prześladowania i obelgi, szedł śmiało do zamierzonego celu. W dziele o którym mowa powstał przeciw złym książkom swojego czasu, krytykując styl ich i osnowę. Najsurowiej samego siebie sądził, i o swoich pierwiastkowych pismach z wielką naganą mówi. Najmniej tam może weszły pod rozbiór Jezuitów dzieła. Szanował zawsze Konarski to świetne zgromadzenie, które nawzajem dawało dowody wielkiego dla Konarskiego poważania, szło trop w trop za pomysłami i polepszeniami przez niego w wychowanie zaprowadzonymi: a jeżeli się odezwał jeden głos nierozważny X. Wieruszowskiego Jezuita przeciw pomienionemu dziełu, całe Zgromadzenie potępiło niedorzeczne wystąpienie.

Być może, iż Autor Tygodnika słyszał kiedy o odwadze X. Konarskiego w wyjawieniu niebezpiecznego zdania i uzyskania dla dzieła swojego potrzebnych approbat. Było to rzeczywiście, lecz się rzecz nieodnosi do książki: *de emendandis eloquentiae vitiis*, a tem bardziej nie miało związku ze zgromadzeniem Jezusowem. Dla wyjaśnienia rzeczy parę słów powiedzieć należy.

Każdy dziś jest przekonany, że *liberum veto* było główną przyczyną bezładu, a w jego następstwie upadku Polski; lecz w czasach X. Konarskiego ten nieszczęśliwy przywilej uważano za *zrzenieć wolności*, za prawo wynoszące Polaków nad wszystkie narody i szczycono się tym przywilejem, na każdym sejmiku i sejmie pałaszącami go bronić. Pomimo widocznych skutków złego, pomimo odmiennego przekonania ludzi zaenych i rozumnych, nikt nie miał odwagi wystąpić przeciw zgubnej zasadzie. Zdawało się, że burzliwa szlachta zarabia każdego, któryby się odważył słowem albo czynem naruszyć jej przywileje. X. Konarski jeden miał tę odwagę. W r. 1760 wydał pierwszy tom dzieła o skutecznym rad sposobie, w którym wykazał do czego przyszedł kraj w skutku nieszczęsnego *liberum veto*, i jakie są sposoby ratunku. Pragnąc ażeby pomysły jego nie zostały na papierze, wszelkimi sposobami dzieło swoje upowszechniał, wręczył go sam osobiście wszystkim Biskupom, ministrom, senatorom i najznakomitszym obywatelom: a że miał wielką powagę, jako założyciel powszechnie wielbionego w kraju instytutu, jako Autor znakomitych dzieł, syn senatora polskiego, spokrewniony z najznakomitszymi rodzinami i mający wielkie znaczenie u dworu, wypadło po-

dziękować za ofiarowane sobie dzieło, i w tem podziękowaniu wyrazić podziwienie dla odwagi Autora i potwierdzenie jego gruntownych zasad. Odebrawszy podobne listy od najznakomitszych panów polskich, za których wpływem szła mniejsza szlachta, w trzech dalszych tomach dzieła: o skutecznym rad sposobie, które wyszły w latach 1761, 1762 i 1763 wydrukował te listy. Tym sposobem do popierania sprawy swojej zniewolił wszystkich niemal panów polskich; bo wyprzeć się i cofnąć swojego zdania po ogłoszeniu listów już nie było podobna. Z listów tych przekonano się, że utrzymanie *liberum veto*, nie wielu mieć będzie silnych i zapamiętałych obrońców, i w rok po ogłoszeniu dzieła X. Konarskiego, kiedy umysły były dostatecznie przygotowane, na sejmie r. 1764, zniesiono je bez żadnego prawie przeciwnictwa.

Medal wybity został na cześć X. Konarskiego nie przez ziomków, jak Tygodnik utrzymuje, ale przez Króla Stanisława Augusta, w r. 1770, a napis *Sapere Auso*, nie stosuje się do tego że był przeciwnikiem Jezuitów, bo nim nigdy nie był, i nigdy słowem jednym przeciw sławnemu zakonowi niewystąpił; ale do wszystkich działań X. Konarskiego, nacechowanych wielką odwagą i wielkim rozumem, mianowicie do dzieła: o skutecznym rad sposobie; bo trzeba było niesłychanej śmiałości żeby przeciw gubiącemu kraj, a ubóstwionemu przez pańszczową szlachtę przywilejowi wystąpić.

W końcu zwracam uwagę szanownej redakcyi na rodzaj porównania użyty przez Autora tygodnika, odwagi Konarskiego z odwagą Dziennika Warszawskiego. Zdaje mi się że dowiecny Autor tak, znowu wiele o tem wystąpieniu dziennika Warszawskiego nie trzyma, jak zdaje się sądzić w załączonym przypisku szanowna Redakcyja Czasu. Jest to poprostu żart, wynoszący bohaterów *Batrachomimachii* czyli wojny żab z myszami, do godności bohaterów Iliady.

Przebaczyć mi raczy Szan. Redakcyja Czasu, że się poważam pisać przeciw jej znakomitemu korespondentowi; lecz cóż robić, prawda przedewszystkiem! *Amicus Aristoteles, amicus Plato, sed magis amica veritas.*

X. Adam Jakubowski.

Rozmaitość.

* **Z Krakowa.** Pogody i gorąca nawiedzają nas. po długomiesięcznych zimnach i skotach, to też i oblicze miasta młodsze i rozjaśnia się, a przechadzki po ogródkach i poza miastem, zaludniają się swojskimi, jako też coraz bardziej obcemi fizyonomiami. Z nadejściem pory przechadzkowej, kulejący teatr Gaudeliusa, upadł na nogi obiedwie, a członki całego korpusu, rozniosły wiatry na kurać po obcych strefach. Został dyrektor bez trupy, a od połowy Maja, afiszera zakłada ręce swobodnie, zaś biletery załośnie spoglądają na przywarte podwoje świątyni Melpomeny. Ubicie najlepszego artysty, tenora Sailera, dało hasło dezorganizacyi opery, gdyż komedya, już na dwa miesiące wcześniej znikła z zwidnokręgu teatralnego. Nieustraszony Dyrektor myśli spróbować szczęścia na nowo od Września tego roku.

Polska trupa bawi ciągle w Poznaniu i Gnieźnie, grywają tam naprzemian i powodzi się jej nie źle, pomimo, iż zjechała właśnie w czasie kiedy Poznań ucierpiał najwięcej od powodzi. Ubyła z kompanij tej, panna Kotowska, która schroniwszy się w zacisze wiejską pod Krakowem, umyśliła Czerze palić ofiary, odwróciwszy swe myśli od ołtarza Tali. Pfeifer sprowadził w miejsce jej Szynglarską, ale nie zapełnił przez to powstałej szczyrby w szczupłym gronie swoich artystów.

Ciszą w dziedzinie teatru i sztuk, pozerwały trzy koncerty panny Julii Bzowskiej Warszawianki. Czas ocenił ją oględnie i deli-

katnie, zaś skrzypek Izzycki Wł. długim inseratem opłaconym do dziennika, opiewał przesadnie grę jej piękną, miłą i biegłą, ale nie czarującą. Popisy flecisty Wadowskiego, jak równie niewprawna gra wiolonczelisty Spiegła w czasie tych koncertów, nie powiodły się wcale.

Chciełbyście wiedzieć co się dzieje z Kunstvereinem? Biedaczysko zasnął sobie, dla tego nie wygotowano dotąd ani ryciny, należącej się członkom towarzystwa z roku ubiegłego, ani też po przesłano półrocznych obietnicach i zapowiedziach nie zdobyto się dotychczas na porozwieszanie galeryi Dąbskich i otwarcie jej na użytek publiczny. Nie należałoby grzeszyć opieszałością, jeżeli towarzystwo ma ciągle odnawiać się nieprzerwanymi ognikami lat następujących. Dyrekcya nie powinna puszczać w zapomnienie byt Kunstverein. Z dniem zamknięcia wystawy rocznej, należało mieć już wygotowane i wydrukowane sprawozdanie szczegółowe z użytych dochodów i takowe zakomunikować akcyonaryuszom; należało już dawno odlitografować rycinę i rozesłać, czego obojga nie wygotowano dotychczas i nie rozesłano.

Mówiąc o rycinie, nie mogę pominąć doniesienia wam, iż od dawna zapowiadana i opisywana rycina wizerunku Kopernika z stosownymi emblematami, ryłca Ant. Oleszczyńskiego, którą udzielił na wystawę paryżką, znajduje się i u nas. Ofiarował ją autor zasłużonemu i jednemu starożytnikowi miasta naszego panu Ambrożemu Grabowskiemu. Rycina ta, (w odbiciu *avant la lettre* i jeszcze bez ostatniego jej wykończenia w kilku szczegółach) posiada wszystkie znamiona cechujące wyborny ryłce sztycharski i fantazyą pomysłów Oleszczyńskiego. Nie wątpimy że dzieło to zyska uznanie zaszczytne na wystawie tegorocznej. Zalecamy prenumeratę tegoż rodakom, jako nader tanią ze względu na wartość utworu, bo dziesięć franków wynosząca. O ile wiemy, zapewniono autorowi liczny rozkup pracy tej, za pośrednictwem zagranicznych prenumerantów; sądzić wypada, że w tym razie rodacy nie dadzą wyprzedzić się, i rozechwyca znakomite dzieło, przedstawiające męża najsłynniejszego w Ojczyźnie.

Jeden ze znanych literatów zajął się starannie ułożeniem w systematyczny zbiór wszystkich darów różnemi czasy udzielonych Towarzystwu naukowemu, a dotyczących archeologii. Urośnie z tego zajmujący i dość liczny zbiorek archeologiczny, mogący być podstawą do uformowania coraz większego muzeum, z napływających darów, które zapewne obficie jeszcze napływać będą, jak skoro raz ustali się byt i istnienie osobnego zbioru starożytniczego przy uniwersytecie, choć należałoby powiedzieć przy naukowem towarzystwie. Ale coż kiedy towarzystwo to, bez żadnej przyczyny ubezwładnione, nie jest zwoływane na posiedzenia już od lat trzech, i dla tego *de facto* nie istnieje, mimo iż Wysoki c. k. Rząd, towarzystwu temu nie odmówił dobroczynnej opieki i uznania potrzeby nieprzerwanego onegoż istnienia. Dziwna rzecz, iż dotąd nikt nie znalazł się, coby próbował wskrzesić życie w tem zlodowaciałem cielsku, i że dotąd czasopismo nasze, rozprawiające z fantazyą o tem co się dzieje, a jak się dźiać winno za granicą, nie zajmuje się prawie nigdy kwestyami dotyczącymi miejscowości, a tem samem, nie nie umie powiedzieć o obudzeniu ducha w towarzystwie naukowem tu-tejszem.

* Procesya Bożego ciała odbyła się przy największej pogodzie JEe. xiądz arcybiskup z licznem duchowieństwem celebrował. Przed kościołem stała dywizya Grenadierów pułku Coronini a JEel. Jenerał komenderujący hr. Schlick z wszystkimi jenerałami i oficerami całej załogi w największej paradzie czekał na przybycie Arcyksięcia Karola Ludwika, który przyjmowany był przez JEel. Arcybiskupa w pontificalibus, JEel. Namiestnika z wszystkimi urzędnikami i szlachtą. Podczas procesyi po odczytaniu czterech ewangelii

przy każdym ołtarzu dawano salwy. Po ukończonem nabożeństwie udał się JExl. generał komenderujący z całym orszakiem swoim na przyjęcie najdosłojniejszego Arcyksięcia wychodzącego z kościoła, który pieszko obejrzawszy bataliony stanął przed głównym odwachem i kazał defilować.

* W niedzielę porównie odbędzie się processya Bożego ciała obr. ruskiego, a że cerkiew wołoską odnawiają, nabożeństwo odbędzie się w archikatedrze rzymsko-łacińskiej.

* We czwartek z południa na strzelnicy ukończono strzelanie do tarczy, królem kurkowym został pan Krömer, piekarz miejski, marszałkami: PP. Sienicki zegarmistrz i Mozer mosiężnik.

* Znany tutejszy fotograf p. Stahl na wezwanie JM. Arcyksięcia fotografował Tegoż z natury, fotografia najdokładniej się udała, z najwyższem zadowoleniem. Pan Gołębiowski był tak że od Najdosłojniejszego Arcyksięcia wezwany do kolorowania rzeczonyj fotografii.

* Onegdaj czytaliśmy po wszystkich rogach ulic przylepione doniesienia, że dnia 7. Czerwca b. r. będzie się w tureckiej łaźni parnej palić. [???]

* J. Ex. głównie dowodzący 3. i 4. armią, Generał-zbrojmistrz baron Hess, przybędzie jutro do Krakowa. JEx. generał jazdy hr. Schlick wyjechał na przeciwko, oddawszy komendę JEx. generałowi dywizji hr. Clam-Gallas.

* Słyszymy, że hr. Alfred Potocki syn kupuje dobra Brody, Łopatyn i Toporów za 5 milionów złr.

* Bataliony pułków Coronini i Lichtenstein ściągnięto z okolic do miasta; zajęli baraki, idąc na Kleparów i za Janowską rogatkę.

Przyjechali od dnia 7. do 8. Czerwca do Lwowa.

PP. Sobota Karol z Podhorek. Zabielski Ludwik hr. ze Stanisławowa. Dzieduszycki Alfons hr. z Sichowa. Morawski Jan z Romanowa. Badeni Alexander hr. z Brzeżan. Czajkowski Hipolit ze Sarnik. Zarewicz Władysław ze Zawadki Grabowski August z Bakońcyc. Dulski Edward z Ilawca. Łomnicki Karol z Wareża. Pilchowski Józef z Dikowic. Radziejowski Edward z Dikowic. Głogowski Artur z Bojańca.

PP. Gumowski Hieronim z Borek. Bykowski Stanisław z Bo-ratyna. Sabatowski Fryderyk z Drohobycza. Kolowrat Henryk hr; Pra-gi. Stanek Józef z Wiszenki. Torosiewicz Miehał z Połtwa.

Wyjechali od dnia 7. do 8. Czerwca ze Lwowa.

PP. Cywiński Zenon do Telacza. Dulski Karol do Żukowa. Czajkowski Nikodem do Dusanowa. Jasiński Franciszek do Kołomyi. Szeliski Walerian do Nastassowa. Balko Jan do Sambora. Wiśniewski Henryk do Dobrzan. Gottlieb Felix do Dełhomojsk. Kleczkowski Franciszek do Nowogosiola. Gnoiński Alexander do Krasnego. Padlewski Apolinary do Mikołajowa. Janiszewski Juliusz do Ostrowa.

PP. Wysocki Florian do Podburza Borkowski Włodzimierz hr. do Winnik. Strzelecki Eugeniusz do Wyrowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 8. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr.	125 1/2	Pożyczka 5%	79 3/4	4 1/2	69
Hamburg za 100 tal. banco	91 1/2	Akcyje banku			994
London za 1 funt szterl.	12 10	Kolej północna			1985
Medyolan za 300 lirów	124 1/2	Obl. ind.			71 1/2
Paryż za 300 franków	145 3/4	Nowa pożyczka z loterya			104 1/2
Agio duk. ces.	30 1/2	Pożyczka narodowa			84 1/2

Wczorajszy	Kurs Lwowski	Gotówka	towarem.
Dukat holenderski	złr. 5 kr. 47	złr. 5 kr. 52	
Dukat cesarski	" 5 " 53	" 5 " 56	
Półtimpereł zł. rosyjski	" 10 " 2	" 10 " 8	
Rubel srebrny rosyjski	" 1 " 56	" 1 " 57	
Talar pruski	" 1 " 51	" 1 " 53	
Polski kurant i pięciogotówka	" 1 " 24	" 1 " 25	
Galicyskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	94 " 50	95 " 10	
Galicyskie obligacje indemnizacyjne bez kuponu	72 " 10	72 " 40	
5 proc. pożyczka narodowa	84 " 20	85 " —	

Lwów, 8. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 39 złr. 20 kr. do 40 złr. — kr. — Żyta po 26 złr. 30 kr. do 29 złr. 45 kr. Jęczmienia po 22 złr. 30 kr. do 23 złr. 50 kr. Owsa po 15 złr. 30 kr. do 17 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 20 złr. — kr. do 23 złr. 30 kr. — Ziemiaków po — złr. — do 15 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 40 złr. — kr. do 44 złr. 10 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 42 złr. w.w. Cetnar siana 4 złr. 5 kr. do 4 złr. 40 kr. Centnar słomy 2 złr. 37 kr. do 2 złr. 57 kr. w.w. Garniec 30 topniowej okowity bez o-płaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 17 kr. w.w.

Tymczasowe ważne

Doniesienie jarmarkowe w Ułaszkwcach. Jeszcze nigdy nie istniało!

Nader korzystna sposobność dla każdego życzącego sobie nabyć prawdziwego płótna po niesłychanie tanich cenach, zdarza się w wielkim

składzie towarów płóciennych Gottlieba i Begera z Wiednia.

podczas Jarmarku w Ułaszkwcach,

w sklepie pod Nr. 125, naprzeciw cukierni p. Żółkiewskiego.

Szanownej Publiczności, szczególnie zaś szanownym u nas kupującym donosimy niniejszem uprzejmie, iż na jarmark ten z wielkim, dobrze zaopatrzonym

zapasem towarów płóciennych

przybędziemy, oraz że wszelkie towary, aby je całkowicie zbyć, wyprzedawac będziemy

o 25 procentów taniej od cen dotychczasowych.

Niesłychanie tanie ceny swego czasu powszechnie oznajmione a w Ułaszkwcach afiszami ogłoszone będą.

(114. 2—5)

Gottlieb i Beyer z Wiednia.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: H. W. Kallenbach.

Z drukarni E. Winiarza.